

KRAJOBRAZ PO WINIE

Marian Grabowski *Krajobraz winy*.
Wydawnictwo Uniwersytetu Miko-
łaja Kopernika, Toruń 2001, 208 s.

Są książki, które trafiają w swój czas. Pojawiają się dokładnie wtedy, gdy zapotrzebowanie na nie dopiero boleśnie wyżyna się w ludzkiej świadomości. Piszę: boleśnie, bowiem pozycje te traktują zazwyczaj o rzeczach mało przyjemnych, przypominają fakty, o których dawno chcielibyśmy zapomnieć (ale jeszcze nie możemy, gdyż trudność sprawia nam sklasyfikowanie problemu, którego nie rozgryźliśmy do końca), uparcie drażą, przywołują pojęcia, które wyszły z naszego obiegu. Proponują nam analizy, podczas gdy wiedzą, że żyjemy w świecie błyskawicznych syntez. Składamy jeden klocek do drugiego, nie dbając o to, czy pasują do układanki, skoro i tak wiemy, że nikt nas z tego nie będzie odpytywany, a jutro i tak pojawią się nowe klocki, a stare podzielą los konia na biegunach. Nam chodzi o załatwienie sprawy, one chcą wydobyć z nas refleksję. Co więcej: straszą, że ucieczka od niewysłowionych strachów jest tylko quasi-ucieczką i że wcześniej czy później sami wpadniemy we własne sidła.

Jeśli więc są takie książki, to za jedną z nich można uznać pracę Mariana Grabowskiego *Krajobraz winy*. Książka ta ukazała się w momencie, gdy sprawa winy na powrót zakłóciła nasz spokój. Debaty na temat Jedwabnego i winy polskich „sąsiadów”, którzy jak celnie, acz drastycznie ujął to jeden z naszych publicystów „gorąco pożegnali się z Żydami”. Kiedy na publiczną wokandę wróciły pytania o odpowiedzialność i jej granice, kiedy przedstawiciele różnych obozów zaczęli traktować winę jako piłeczkę pingpongową, którą można dowolnie, w miarę trwania meczu, odbijać i przerzucać z jednej drużyny na inną. W zależności od barwy grającego winnymi byli po kolei: społeczeństwo, państwo, naród, poszczególne jednostki, które feralnego dnia zagoniły swoich sąsiadów do stodoły, winni byli Niemcy, komuniści, wreszcie sami Żydzi, którzy swoją cierpiętniczą naturą doprowadzili do pogromu, wreszcie w wersji skrajnej – zawinił sam Pan Bóg, który przyzwolił na holokaust i jego jedwabieńskie ogniu. Zamiast prawdziwej

debaty, jesteśmy świadkami językowej wykładni winy i zasługi, hańby i odpowiedzialności. Spieramy się o słowa z takim zaangażowaniem, że etyczny problem udaje się nam zamazać. A wszystko po to, by na koniec stwierdzić, że właściwie trudno ją przydzielić komukolwiek. W takich warunkach Grabowski proponuje nam wędrówkę po krainie winy. Spokojnie prowadzi nas za rękę po jej ciemnych zakamarkach. Nie chce na początku roztrząsać konkretnych spraw, ferować ocen. Na ocenę może pozwolić sobie ktoś, kto poznał problem, kto przebył całą drogę. Chodzi mu o coś więcej, o pokazanie idealnego scenariusza popadania w winę, a następnie sposobów jej przewycięzania. Grabowski jest świadomy, iż taka droga jest żmudna i wymaga od wędrowca siły, cierpliwości i odwagi, a przede wszystkim skupienia, bo jest to droga piesza, a nie jakaś wycieczka samolotem. Swoją niepopularną strategię wyjaśnia: „Dla ludzkiego poznania praktyka odwoływania się do struktur idealnych – idealizacja obrazu badanego fragmentu rzeczywistości – jest nad wyraz typowa i owocna. Co więcej, w kręgu poznania etycznego, do którego badania nad winą naturalnie przynależą, bez uchwycenia sensu moralnego w jego idealności nie daje się nigdzie dalej postąpić. Bez umiejętności rozeznania etycznych znaczeń i związków między nimi nie byłoby socjologii moralności. Nie byłoby możliwe też wychowanie, które przedstawia wychowankowi ideał etyczny wart naśladownictwa” (s. 12). W nas jednak tkwi niechęć do wszelkich idealistycznych projekcji. Jako przedstawiciele racjonalizmu życzymy sobie racjonalnych i rzeczowych sprawozdań, zwłaszcza że szkoda nam czasu na błąkanie się po przestworzach abstrakcji. Przy czym, nie chodzi o to, by owe badania dawały zaraz wyczerpujący opis sytuacji (nie jesteśmy przecież idealistami), ale by stosunkowo prosto poddawały się weryfikacji. Opór przeciwko studiom idealnych obiektów w etyce, jak podaje sam autor, wynika z rozdziewu pomiędzy idealnym wzorcem, a jego ułomną realizacją w praktyce. Tę niechęć do ideału najlepiej oddaje język potoczny, definiujący „to, co idealne” jako „nierealne”, „niemożliwe do spełnienia”, „utopijne”. Ale też ten sam, język potoczny, nieświadomie, z zasobów idealizmu sam obficie czerpie w codziennym doświadczeniu, nawiązując do platońskich wzorców (*eidos*). Mówimy przecież o „idealnej przyjaźni”, „prawdziwej miłości”. Rzecz teraz w tym, by w podobnej, codziennej perspektywie ujrzeć winę. Ale żeby to było możliwe, wędrowiec musi odbyć podróż, w której znajdzie odpowiedzi na następujące pytania: czym jest wina, jak się przejawia, jak człowiek staje się winny, wreszcie jak może winę przewyciężyć. Gdy znajdzie odpowiedź na te kwestie, dopiero wtedy wolno mu zatrzymać się nad „gatunkami” win.

Tylko że zaraz na początku Grabowski naraża się na dwa zarzuty. Pierwszy: że przedmiot swojej refleksji zakreśla tak „idealistycznie” ogromny, że łatwo go posądzić o pychę. I drugi: że krajobraz winy, który nam odsłania, przesiąknięty jest na wskroś chrześcijańską perspektywą, stąd podatny na pewne wykrzywienia, czasem uproszczenia. Wiadomo, przecież, mówi o tym sam autor, że człowiek wierzący w zderzeniu z winą jest w lepszej, choć trudniejszej sytuacji. On już wie, że zawinił Bogu. Jest świadom grzechu pierwotnego. Został nie tylko powołany

drogą boskiej miłości, ale i zaufania. Bóg obdarzył człowieka wolną wolą i zostawił mu wolną rękę. Człowiek zbuntował się i przeciwstawił swojemu Stwórcy. Odpychając go, przyjął na siebie brzemień winy. Każde dodatkowe przewinienie to dla niego kolejny kamień w worku, który i tak już od dawna nosi na plecach. Jego wina jest niezmywalna i trwała. Bez względu na to, co zrobi później, jak odpokutuje inne wyrządzone krzywdy, i tak pozostanie winnym. Ale ten sam człowiek wie, że w każdej chwili może zwrócić się do tego, którego skrzywdził najmocniej i w skrusze prosić o łaskę. Hildebrand, którego cytuje Grabowski, pisze: „skrusza jest prasłowem upadłego człowieka skierowanym do Boga” (s. 72). „Skruszony – kontynuuje dalej sam autor – wypowiada je i czeka na Bożą pomoc. Tknięty nadzieją czuje, że nie czeka daremnie”. Stąd, wnikliwy czytelnik, niekoniecznie ateista, może odczuć niedosyt. Bowiem wnikliwie opisane stadium dochodzenia do uświadomienia sobie własnej winy, wieńczy optymistyczne zakończenie w postaci boskiego przebaczenia. A co z tymi, którzy w doświadczeniu winy są sami, nie potrafią (nie chcą) dostrzec owego czynnika transcendentnego, którego moc ma działanie uniewinniające? Czy im, faktycznie, odebrana jest szansa „twórczego przezwyciężenia” winy? Na to pytanie autor nie odpowiada, łatwo się przekonać, że mieści się ono poza obszarem jego zainteresowań. Ale owa luka, paradoksalnie, nie odbiera wartości całości rozważań. Wręcz przeciwnie: ponieważ je usprawiedliwia. Tylko bowiem takie zawężone ujęcie uczuła na zarzut pierwszy, a w konsekwencji i drugi.

Dopiero teraz, gdy znamy już optykę autora, możemy zająć się samym fenomenem winy. Ale na początek, musimy wiedzieć, co słowo to oznacza. Jest to o tyle istotne, że potoczna praktyka strywalizowała rozumienie tego pojęcia, sprowadzając je do takiej działalności człowieka, która skutkuje popełnieniem błędu i to zazwyczaj wielkiego kalibru. A ponieważ błąd, z racji samej nazwy, jest nieuświadomiony (trudno popełnić błąd, wiedząc, że się ten błąd popełnia), dlatego też wina nie może być w takim wypadku „za duża”, jak bluzka, albo może nie być jej wcale (rzecz jasna w potocznym przekonaniu). Ponieważ przy takim ujęciu kategoria zawinienia okazuje się nieostra, stąd zazwyczaj wina sama „rozmywa się”, rozplywa pod naporem okoliczności lub ogniskuje w samym czynie, który na tę okoliczność zostaje niezależniony od sprawcy i zantropomorfizowany. Stąd ustalenie zakresu znaczeniowego „winy” okazuje się niezbędne. „Wina – pisze Marian Grabowski, to nie krzywda ani nawet sam zły czyn. Wina przynależy do innej warstwy rzeczywistości niż sama faktyczność zdarzeń, ich przebiegów i takich bądź innych stanów, sytuacji powstałych na skutek ludzkiego działania (...) Wina poczyna się bowiem w intencji czynu (...) Pojawia się tylko tam, gdzie jest osoba ludzka. Tylko tam istnieje możliwość winy i moralnej zasługi” (s. 19). Co prawda w codziennym życiu mamy tendencję do szafowania winą, zrzućcia jej na konto okoliczności czy pechowego splotu zdarzeń. Najczęściej dzieje się tak w chwili wzburzenia, kiedy to my sami albo ktoś z zewnątrz ukaże nam naszą przewinę. Ale takie zachowanie można uznać za typową reakcję obronną organizmu, bo w końcu nikt nie lubi być publicznie obnażony (mimo że popular-

ność rozmaitych *talk show* dowodzi, że jest inaczej). Doświadczenie winy, jak pisze Grabowski, zjawia się w emocji. Człowiek, w którym odzywa się jego wina, robi się jakiś nieswój. Doznaje szczególnego lęku, z którym nie umie sobie poradzić. Nie jest to bowiem lęk ukierunkowany, np. wywołany groźbą kary, a raczej coś na wzór globalnego niepokoju, w którym jak w tyglu mieszcza się: żal za tym, co się stało, wstyd, rozczarowanie i niechęć do samego siebie. Ale winie, która objawia się uczuciem towarzyszy namysł. Praktycznie, dopiero on usensawnia ten stan, który odtąd będziemy nazywać „zawinieniem”. Osoba, która zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że jest winna, w pierwszym odruchu będzie szukać usprawiedliwienia. Będzie powoływać się na okoliczności, szukać innych winnych, pomniejszać swoje zaangażowanie albo mówić o nim w sposób całkowicie zamazujący faktyczny przebieg zdarzeń. Każda z wymienionych strategii wybielających, choć z góry skazanych na porażkę, może przynieść chwilową ulgę, jako że winny podświadomie przeczuwa w winie skazę nie do wywabienia. Jak zauważa Grabowski: „Wina plami, jest skazą, ciąży, jest niezbywalnym brzemieniem...” (s. 19). Gdziekolwiek taki człowiek potem nie zawita, od tej pory już wszędzie towarzyszyć mu będzie jego wina. W ten sposób dołączy ona do pakietu innych jego przewin. Tak że w efekcie będzie miała udział w kreśleniu jego etycznego wizerunku, portretu „z winą w tle”.

Etapom, w których człowiek dojrzewa do przyjęcia swojej winy, autor poświęca dużo miejsca. Jest to o tyle zrozumiałe, że w żadnym późniejszym stadium borykania się z winą ładunek dramaturgii nie będzie tak silny. Ani w momencie skruchy, ani przeprosin, ani pokuty. Przyjęcie własnej winy jest w pierwszej fazie – jak cios w twarz obuchem. Wydaje się niezasłużony, jest bolesny, no i zostawia ślad. Co prawda siniak zniknie, ale pamięć o bólu z pewnością nie. Podobnie jest z winą. Być może uda nam się odwrócić zło, które wyrządziliśmy, być może nasze przeprosiny zostaną przyjęte, ale jakość moralna czynu pozostanie nienaruszona. Zgodnie z tym, co pisał Max Scheler: „Wina jest ową »złą« jakością, która trwale przyrosła do samej osoby – do centrum jej aktów – poprzez jej złe czyny (...) Czy człowiek czuje się winny, czy nie – wina trwa” (s. 19). Zresztą, inaczej być nie może, jako że schelerowska zła jakość w równym stopniu dotyka człowieka, co i czas, który minął. I ta nieodwołalność winy, paradoksalnie czyni ją realniejszą. Im bardziej znam ciężar swojego zawinięcia, tym większa we mnie chęć jego usunięcia. Tylko, że tym, co mnie nieprzerwanie przeraża, jest nie mój „stan zawinięcia” jako taki – na pewnym etapie doświadczenia wewnętrznego – wina ze względu na swą niewyobrażalność wraca do statusu abstrakcji, lecz to, co we mnie pozostawia: wyrzuty sumienia i niepokój. Ciekawe, że wchodzenie w obręb rzeczywistości winy w przestrzeni językowej dokonuje się poprzez metaforę. Jednostka, która zdaje relację ze swojego zawinięcia, operuje niemal wyłącznie językiem symboli. Mówi, że wina jej „cięży”, „plami ją”, jest „zmazą” albo „brzemieniem”. Wina „przyrasta”, a gdy się od niej „ucieka”, „dosięga”. Może też „spaść” nagle, jak to miało miejsce chociażby w przypadku Edypa. Ten metajęzyk winy, jak pisze Grabowski, stanowi najlepszy dowód, bo już intuicyjny, uwewnętrzniania po-

czucia winy. Innymi słowy: ktoś, kto dopuścił już winę do siebie, staje się w dwójnasób „swoją” i to w dość szczególnym wymiarze. Raz: dlatego, że wina zagnieżdża się w jego sercu i on ją tam odkrywa. Dostrzega w niej *swoją* winę. I dwa: że owo odkrycie zmusza go do redefinicji własnej osoby, tak by teraz uwzględniła tę złą jakość. Tyle że winny, co akurat nie dziwi, broni się jak może przed ową „przyrastającą swojością”, która wykorzenia go z obrazu, iluzji, jakie miał na własny temat. „Obcość” własnej winy najlepiej chyba ujawnia się po latach, gdy człowiek analizując swoje czyny z przeszłości wciąż ze zdziwieniem będzie kiwał głową: „nie wiem jak to się mogło stać...”, „nie wiem, jak mogłem się do tego przyczynić” itd.

Szukając dróg wyjścia z „matni swojej własnej winy”, człowiek w końcu decyduje się na wyznanie win. Czynność ta poprzedzona aktem skruchy, ma pomóc mu poradzić sobie z moralną skazą, jaką nosi w sobie. Przy czym, jak pisze Grabowski, konstatacja: „zrobiłem źle”, może być konsekwencją dwojakich doświadczeń. Ktoś może spojrzeć na swoje czyny z punktu widzenia zła, którego się dopuścił albo też z perspektywy wartości – dobra, które zniszczył. Jak łatwo się domyśleć, wybór optyki jest tu znaczący. Zdaniem autora tylko żal za zaprzepaszczonym dobrem, świadomość dewastacji wartości są w stanie odbudować aksjologiczny horyzont winowajcy. Bo też jak pisze Grabowski „żałować można tylko tego, co jakoś uległo zatraceniu, a było warte” (s. 61). Taki żal rodzi się wraz ze skruchą, która, jak twierdzi autor, „miota człowiekiem”, tak że w efekcie z przeżycia skruchy winny wychodzi z „odnowioną wiarą w to, że może sprawić dobro, z podjętą decyzją o trwałej orientacji na nie, z gorącym pragnieniem czynienia go” (s. 67). Na potwierdzenie czego przywołuje słowa świętej Katarzyny ze Sieny: „prawdziwa skrucha czyni zadość winie i karze, nie przez cierpienie skończone, które dusza znosi, lecz przez nieskończone pragnienie..”(s. 67). Pragnienie, o którym mowa, to rzecz jasna pragnienie dobra. Chęć reperacji tego, co w świecie wartości zostało nadwątlone. W takim ujęciu gotowość poniesienia kary schodzi na dalszy plan. W tym momencie, mam za złe autorowi, że z refleksją coraz bardziej oddala się od opisu doświadczeń na rzecz normatywnych twierdzeń. Od tej pory „człowiek” – pisze Grabowski – będzie dawał baczenie na dobro, pozostawi w sobie imperatyw uwagi i wolę świadomego przebywania w świecie dobra” (s. 67). Owo „będzie” pojawia się tu na zasadzie oczywistości i też inaczej być nie może, jeśli za wzór – wraz z autorem – przyjmujemy losy świętych i ich radykalność w służbie dobra. Ponieważ jednak odsetek tych ostatnich, jak wiadomo, w świecie niestety jest nikły, dlatego też nie wiem, czy „prawdziwa” skrucha ujawnia się akurat w pragnieniu dobra zawężonego do przeżyć świętych, tak jak do końca nie wiem, co miałyby stanowić kryterium jej prawdziwości. I w jakiej skali można by, jeśli już, ją określać. Nie wiem też, jak dalece winnemu zależy na wdrażaniu wartości w życie, a w jakiej na małoszkowych, choć przynoszącym ulgę uczuciu lekkości, o której pisał m.in. Kundera w eseju na temat *Procesu* Kafki. Za to mam wrażenie, że przestrzeń, w której poruszam się idąc śladem autora, pęka na dwa nie przystające kawałki. Z jednej zostaje *sacrum* i dokrojona do niej wina, a z drugiej rzeczywiście, nie całkowicie przystające *profanum* ze swoimi winnymi.

Ów rozdźwięk między tym, jak jest, a jak być powinno, sprawia, że w dociekliwym czytelniku może rodzić się pytanie: czy taki modelowy opis doświadczenia wychodzenia z winy ma stać się miarą wiarygodności dla mojego wychodzenia z winy? Tyle, że trudno z powodu takiego pytania czynić zarzut autorowi, którego – co sam niejednokrotnie podkreślał, interesował przede wszystkim konstrukt idealny, a nie rzeczywiste implikacje. Zaslugą Grabowskiego jest to, że mimo całej rozległości swoich rozważań nad moralnym, aksjologicznym statusem winy, nie ucieka on jednak całkowicie od uwag historyczno-socjologicznych. Mam na myśli ostatni dział zatytułowany „Bezdroża komunistycznej winy – retrospekcja”, w którym owoc swoich teoretycznych refleksji stara się odnieść do konkretnej sytuacji winy, jaką była tzw. wina komunistyczna. W swoich sądach Grabowski jest ostry i radykalny. Nie ma on wątpliwości, co do tego, że polskie rozliczanie z „widmem” przeszłości należy do najbardziej nieudanych scenariuszy sposobów radzenia sobie z winą. Dlaczego? Jego odpowiedź można zamknąć jednym określeniem: problem zbagatelizowano. Z nieskrywaną goryczą autor pisze: „zamiast ją [winę] rozpoznać i nazwać po imieniu w wyrafinowany sposób zakłamaną jej rzeczywistość, gdzie chwila, gdy można było ją wyznaczyć i wziąć na siebie, zamieniła się w noc strachu i panicznej ucieczki, gdzie prośba o wybaczenie skończyła się teatralnym i banalnym »przepraszam« (s. 194). Zawiniły elity, które nie wykazały woli rozliczenia się z przeszłością serio. Milczenie czy też „wodolejstwo” elit odbiło się ignorancją ze strony społeczeństwa, które nie dostrzegło potrzeby medytowania nad winą tzw. porządnym, nie zamieszanych w winę ludzi, których podstawowym grzechem było to, że znaleźli się akurat w tej a nie innej przestrzeni geopolitycznej, i to tak pechowo dla nich – nie najlepszym czasie. Tym sposobem, zdaniem autora, w obszarze winy rozegrał się spektakl lustracyjny przy okazji którego całkowicie zatarł się sens dekomunikacji. Tak że w efekcie dokonany przez Jaspersa podział na winę kryminalną, polityczną, moralną i tragiczną stracił w tym wypadku przedmiot odniesienia. A przecież, jak zdaje się utrzymywać Grabowski, „wina polityczna komunistów miała tak poważny charakter”, że domagała się swoistej „dolegliwości obywatelskiej”. W tym punkcie, zresztą, autor przechodzi do najbardziej kontrowersyjnej części swoich wywodów – mianowicie idei tzw. zaprzepaszczonej pokuty. Ma tu na myśli niezrealizowany pomysł odsunięcia członków partii komunistycznej na określoną liczbę lat od możliwości sprawowania urzędów państwowych i politycznych. Ten rodzaj dolegliwości, nie tylko zdaniem Grabowskiego, zadośćuczyniłby społecznemu poczuciu krzywdy, ale też okazałby się dobrodziejstwem dla ukaranych. Społeczność, która obciążałaby winnego pokutą, tym samym przywracałaby go do swego grona. Jakkolwiek interesującą wydaje się malowana tu na wzór zwyczaju kościelnego wizja publicznej pokuty, niemniej jednak realizacja jej wydawałaby się częściowo udana. Zwłaszcza że taka pokuta – jak każda inna wymaga reakcji winnego, który sam dobrowolnie zwróciłby się o jej nadanie. Jeśli jednak już mowa o pokucie, to pręcej mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której ten, kto zawinił, przeistoczył się w tego, kto sam odpuściwszy winy, sam też wyznaczył sobie pokutę.

Na koniec wypada jeszcze zatrzymać się chwilę nad krótką analizą „przepraszania” (akt ten sam w sobie jest na tyle ciekawy, że domaga się osobnej analizy) w kontekście gestu wykonanego przez lidera partii przemianowanej na socjaldemokratyczną. Autor jest zdania, że zabrzmiało ono żałośnie nieadekwatnie. Grabowski pisze: „Nie proszono o wybaczenie, lecz zadowolono się wytartym słowem” (s. 207). Pomińmy aspekt wybaczenia, a zastanówmy się nad słowem, które pod lupą autora wygląda szczególnie paskudnie. „Przepraszam” wypowiedziane publicznie w okolicznościach oczekiwania na ekspiację zawsze narażone jest na zarzut nieszczerości (nie pora wnikać tu w domniemaną czy też nie spontaniczność polityków SLD). To, co prywatne (wyznanie wychodzi od osoby) w roli publicznej, z łatwością naraża się na zarzut kiczowatości. Dlatego wydaje mi się, że byśmy rozważając słowa Grabowskiego, i ten fakt mieli na uwadze, kiedy skończywszy wraz z autorem wędrówkę po krętym szlaku winy, w krajobrazie klęski, dostrzegli jakieś jasne plamy.

Joanna Klimczyk